Rok I. Kraków 15 Czerwca 1893. Nr 12.

NOWY DZWONEK

Czasopismo ludowe

wychodzi dnia 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi:
w **Galicyi** rocznie: **4** złr.
półrocznie: **2** złr.
kwartalnie: **1** złr.

W Niemczech rocznie: **8** mk.
W Ameryce rocznie: **2** dolary.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka*, **Kraków**, ul. Pijarska l. 5.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

Uprasza się
o przedpłatę na drugie półrocze.

Nowym prenumeratorom możemy przesłać wszystkie numera od początku bież. roku.

Przypominamy, że ***Kalendarz*** możemy tylko wtedy wydać, gdy się zgłosi znacznie większa niż dotychczas liczba prenumeratorów.

Jeżeli tedy Szan. Czytelnicy chcą mieć nasz *Kalendarz*, niechże ze swej strony dołożą starania, aby zwiększyć liczbę prenumeratorów naszego pisma, inaczej *Kalendarza* wydać nie będziemy mogli.

Zbliżające się II-gie półrocze daje Szan. Czytelnikom dobrą sposobność do rozszerzania *Nowego Dzwonka*, i polecenia go swym znajomym.

Redakcya.

Mylny i krzywdzący sąd.

W naszym kraju wszelka uczciwa praca rzadko zyskuje uznanie, pomoc lub poparcie. Zamiast tego odbiera w nagrodę umyślne zamilczenie, lub gorzkie, a niesłuszne zarzuty i to od osób, które ją ocenić powinny.

To spotyka pracowników na różnych polach, a także i nas, czemu się wcale nie dziwimy, bo takie to już u nas panują stosunki.

Zamiast poprzeć nas, jakby się należało, niektórzy z Szan. Czytelników, ale dzięki Bogu — tylko niektórzy, zarzucają nam częste *zmiany* w naszem wydawnictwie, a przytem nie szczędzą nam różnych przykrych uwag.

My tym niektórym Czytelnikom odpowiemy tylko tyle, że gdyby sami zasiedli choćby na miesiąc za stołem redakcyjnym, i poznali te trudności, jakie my mamy do zwalczenia, toby zamiast czynić nam zarzuty wprost niesłuszne, podziwiali raczej naszą odwagę, pracę i poświęcenie się dla sprawy, błogiej może w skutki w przyszłości, ale w teraźniejszości nie bardzo wdzięcznej. My sami o tem dobrze wiemy, że wszelkie zmiany są dla nas szkodliwe, to też staramy się ile możności unikać ich, ale cóż my winni, jeżeli mamy najlepsze chęci, a za to tak mało poparcia? Wszakże zaczęliśmy wydawać *Gazetkę Ludową* i *Czytanki* nie po to przecie, aby je potem przestać wydawać, lecz, aby się przysłużyć ludowi i jego przyjaciołom. Nasza jednak praca i zabiegi na nic się zdały wobec obojętności społeczności, dla której piszemy. Naturalną więc jest rzeczą, że nie mając pieniędzy na wyrzucenie, musieliśmy zawiesić powyższe wydawnictwa z zupełnie czystem sumieniem.

Tak samo stało się i z dziełem *Matka Świętych Polska.* Pragnęliśmy i tem dziełem przysłużyć się naszemu społeczeństwu, i chociaż drukuje już takowe pewna drukarnia w Poznaniu, mimo to bylibyśmy do jego wydawnictwa, stosunkowo nawet tańszego, przystąpili, gdyby się była zgłosiła odpowiednia liczba prenumeratorów. Skoro zaś stało się przeciwnie, i prenumeratorów na nie niema, więc każdy przyzna, że chyba trzeba być bez rozumu, aby zabierać się do sprawy, która wydawcę mogłaby tylko chyba w wielkie wpędzić długi.

Nie myśmy więc winni, że zachodzą czasem zmiany w naszem wydawnictwie, ale zupełnie kto inny. Gdybyśmy bowiem mieli należyte poparcie, to jasna rzecz, że zmian żadnych by nie było, bo i pocóż? i dlaczego? Przecież trudno znowu przypuścić, abyśmy chcieli działać na swą własną szkodę — jaką za sobą pociągać musi każda zmiana.

Łatwo to krytykować drugiego, ale niechby jeden z takich Sz. Czytelników przypatrzył się naszej pracy i warunkom, w jakich pracujemy, toby z pewnością innego wnet nabrał przekonania.

Cała wina nasza chyba ztąd pochodzi, że patrząc na zdumiewający rozkwit piśmiennictwa religijno-ludowego za granicą, sądziliśmy, że i u nas taka praca zyska sprawiedliwe uznanie, i w tem przekonaniu zabieraliśmy się do różnych wydawnictw. Dziś przekonaliśmy się, że u nas, niestety, jeszcze daleko do tego, że mieliśmy więc o naszem społeczeństwie zbyt różowe pojęcie, i że

długo jeszcze trzeba będzie pracować, i zapewne ciężko pracować — gdy Bóg pozwoli — aby dorównać zagranicy.

Możnaby wprawdzie prędzej dojść do tego, ale ku temu trzebaby więcej ludzi dobrej woli, a u nas takich mało, bośmy nauczeni wiele mówić i krytykować, a mało robić.

O NABOŻEŃSTWIE do Najświętszego Serca Pana Jezusa.

(Pobożne uwagi na miesiąc „czerwiec").

(Dokończenie).

II.

»Miłość żąda wzajemności«, oto zdanie, którego żaden kaznodzieja nie potrzebuje udowadniać; każdy człowiek czyta go i czuje w sercu swojem. Zarazem i każdy wierny chrześcijanin czuje także w swem sercu, że gdy jego Bóg i Zbawiciel go ukochał, darował mu Serce swoje, i cały się jemu i jego zbawieniu poświęcił, to i on powinien poświęcić temu Najświętszemu Sercu i życie swoje i serce swoje. O jak pięknie wskazuje to obraz Serca Jezusowego! Jedną ręką wskazuje Zbawiciel na swe Serce i pokazuje, jaką ono dla nas płonie i goreje miłością, a drugą zaś rękę trzyma równocześnie wyciągniętą, prosząc i domagając się czegoś od nas.

I czegoż to żąda, czego oczekuje od nas Najdroższy Jezus? Oto mówi w pieśni nad pieśniami: »mój synu, moja córko, daj mi także twoje serce, twoją miłość!« Czyż więc możemy odmówić tej nieskończenie sprawiedliwej i słusznej prośbie Boskiego Zbawcy? Czyż potem bylibyśmy jeszcze chrześcijanami? czyż bylibyśmy potem jeszcze ludźmi?

Przed niedawnemi czasy zasądzono w Augsburgu pewnego rozbójnika na śmierć. Posłano mu kapłana, który miał go przygotować na śmierć. Atoli ów nieszczęśliwy nie chciał nic słyszeć o spowiedzi; wszystkie namowy, prośby i napomnienia były daremne. Kiedy kapłan klęknął przed nim i ze łzami w oczach prosił go, by zastanowił się nad sobą i ratował swą duszę, wyśmiał go i obsypał szyderskiemi słowy. Gdy kapłan już wiele się modlił za zatwardziałego grzesznika, na najbliższy raz wziął ze sobą obraz Serca Jezusowego i postawił go przed oczy zbrodniarza, nie mówiąc ani słowa. Tenże patrzał nań z początku z ciekawości, wnet potem z uwagą. Naraz zmiękło jego kamienne serce, zaczął głośno płakać, uczynił skruszoną spowiedź i umarł jako pokutnik,

a obraz Serca Jezusowego, jeszcze na rusztowaniu trzymał silnie w swych rękach.

Jeżeli tedy nawet taki zatwardziały zbrodniarz, bezbożny złoczyńca był do łez wzruszony i uczuł w sercu miłość na widok Najświętszego Serca Jezusa, to czyż my chrześcijanie, pełni religijnego ducha możemy nań spoglądać bez wzruszenia? To jest niemożebnem! Nie możemy spoglądać na to Serce miłością ku nam płonące i z miłości krwią zbroczone, nie czując wdzięcznej wzajemności. Nie możemy myśleć o tem, jak Najśw. Zbawiciel w nieskończonej swej miłości i litości dla nas i dla naszego zbawienia zupełnie się poświęcił i ofiarował, nie poświęcając się Mu także zupełnie i nie oddając się Jemu.!

Bóg sam, przez to, że stał się człowiekiem, że żył na ziemi, że głosił swą Boską naukę, że umarł na krzyżu i jest obecny w Najśw. Sakramencie Ołtarza, chciał przez to do nas zupełnie należeć. On wszystko dla nas uczynił, każdą chwilę, każdą łzę, każdą kroplę potu, i swą krew, swe życie, swe serce, swe ciało i swoją duszę, swoje Bóstwo i człowieczeństwo, swoje wszystko poświęcił nam i podarował. I jakżeż? chcemyż się jeszcze ociągać i chwilę ociągać i chwilę namyślać, czy i my mamy się w całości poświęcić i oddać Najświętszemu Zbawcy? Nie, my nie potrzebujemy ani na chwilkę co do tego się namyślać. Lecz w jakiż sposób mamy to uczynić, i na czem polega to poświęcenie się? O, otem już wiemy, już bowiem dawno jesteśmy poświęceni Najśw. Sercu Jezusa, a to stało się jeszcze przy chrzcielnicy. Tam to wyparliśmy się i wyrzekli uroczyście szatana z całą jego pychą i z wszystkiemi jego dziełami. Komuż bowiem złożyliśmy przysięgę i poświęcili nasze życie, jak nie naszemu Zbawcy Jezusowi Chrystusowi? Dlatego to pisze Apostoł Paweł św.: »wszyscy, którzy ochrzczeni jesteście w Chrystuście, przyodzialiście się w Chrystusa, by jego życie okazało się w waszem śmiertelnem ciele«.

Jeżeliśmy więc przy Chrzcie św. przyodziali się w Chrystusa, jakoby w jaką suknię, to rzeczywiście nasze życie w tem śmiertelnem ciele musi Mu być całkiem poświęcone. To samo właśnie mówił tenże Apostoł do nowo-nawróconych Rzymian: »także i wy rozumiejcie, iżeście są umarłymi grzechowi, a żywymi Bogu w Chrystusie Jezusie Panu naszym. Nie wydawajcie członków waszych grzechowi, ale niech będą powięcone Bogu jako narzędzia świętości«.

To, co mówiono pierwszym chrześcijanom przy Chrzcie, jako mają całe swe życie swemu Bogu i Zbawicielowi poświęcać, tośmy i my przy Chrzcie uczynili. Wiedzmy więc, że gdy się teraz w tym miesiącu czerwcu z całem katolickiem chrześcijaństwem poświę-

camy Najśw. Sercu Jezusa, to nie czynimy nic innego, tylko odnawiamy ślub na Chrzcie złożony.

I nietylko w tym miesiącu, ale codziennie winniśmy poświęcać Bogu nasze życie.

Przecież P. Jezus tyle dla nas cierpiał, gdy głosił swą Bożą naukę; nogi krwią mu nabiegały, cierpiał głód i pragnienie, zezwalał by Go prześladowano i lżono, a nareszcie przyjął na siebie za nasze grzechy tak ciężką pokutę, dozwalając, by Jego Najświętszą głowę zraniono cierniami, Jego najświętsze ręce i nogi przedziurawiły gwoździe, a Serce Jego włócznią było przebite.

Czyż więc możemy się wzbraniać znosić cierpliwie każde cierpienie z miłości ku Jezusowi? Czyż nie powinniśmy raczej zdawać się zawsze na najświętszą wolę Bożą i wśród najtwardszych ciosów losu poglądać na krzyż i wołać: »o Jezu! wszystko z miłości ku Tobie!«

Nietylko wśród pogodnych dni szczęścia, ale i wśród smutnych dni niedoli, powinno życie nasze zawsze być Bogu poświęcone. Zawsze powinno serce nasze oddane być Najśw. Sercu Jezusa. Ponieważ zaś według zwyczajnego pojęcia serce jest głównem siedliskiem uczuć i miłości, to to wyrażenie: »poświęcić swe serce Najśw. Sercu Jezusa« znaczy tyle, co *ukochać* to Najśw. Serce Jezusowe.

I cóż to znowu ma oznaczać? Czyż to umiłowanie Boga, to całkowite się Jemu oddanie i poświęcenie, ma się może opierać tylko na słodkich słowach i pobożnych uczuciach? O nie! Najśw. Zbawiciel sam wyraźnie powiedział: »*ten jest, który mię kocha, kto chowa moje przykazania*«, czyli, który mię nie obraża żadnym grzechem.

Ten więc prawdziwie Boga miłuje, który woli żyć w nędzy i ubóstwie, niż dopuścić się niesprawiedliwości, który woli zezwolić na to by go przezywano głupcem, niż by miał zaniedbywać swe religijne obowiązki, ten, który woli pozbyć się nadziei bogatej żeniaczki, niż usługiwać spólnikowi występków, ten, który woli opuścić korzystną służbę, niż służyć w takim domu nie mogąc być dobrym chrześcijaninem katolikiem.

I to jest jasnem, gdyż tylko życie czyste może być życiem poświęconem Bogu, tylko czyste lub prawdziwe pokutnicze serce może być Najśw. Sercu Jezusa poświęconem, miłem i przyjemnem. »Oddalcie się od grzechów waszych, mówi Pan, usuńcie pychę i zarozumiałość, nienawiść i oszczerstwo, skąpstwo i niesprawiedliwość, pijaństwo i nieczystość, inaczej moje oko na was spoglądać, a moje serce was kochać nie będzie«.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Przez Sta.

(Ciąg dalszy).

II.

Ksiądz Aleksander Wrotnowski, brat pani Starkowskiej, był Proboszczem w małej mieścinie R. w Wielkiem Księstwie Poznańskiem.

W czasie, w którym się rozwija nasza powiastka, wrzała w całych Prusach walka kulturna, którą to książę Bismark rozpoczął przeciw Kościołowi i Polakom, sądząc, że prześladowaniem zniszczy i zatraci dwóch swoich największych nieprzyjaciół: Kościół katolicki i narodowość polską. Więc z rozkazu możnego księcia ukuto nowe prawa, wymierzone przeciw obydwom wrogom. Najpierw tedy odebrano księżom inspekcyą nad szkołami i wydalono ich z niej zupełnie; za księżmi poszedł język polski, bo słusznie Bismark sądził, że od szkoły, od dzieci trzeba zacząć wytracanie religii i narodowości.

Odtąd więc biedne polskie dzieci, jak papugi, musiały się uczyć w niezrozumiałym niemieckim języku, nietylko wszystkich przedmiotów naukowych, ale nawet religii świętej. Aż w końcu, po kilku latach, wyrzucono język polski ze wszystkich szkół zupełnie, jako niepotrzebny Polakom. Nasprowadzano z głębi Niemiec nauczycieli, którzy słowa po polsku nie rozumieli, więc też nie mogli się porozumieć z dziećmi, które znowu naturalnie po niemiecku nie umiały. Rozpoczęto tedy naukę na migi, jak u głuchoniemych. Każdy, kto ma zdrowy rozum, łatwo pojmie, jaka to była nauka, i że się dzieci nietylko nie mogły rozwinąć umysłowo i nauczyć czegośkolwiek, ale nawet przyrodzone zdolności w nich tępiały, a ów dziki sposób nauczania, wprost do ogłupienia prowadzi.

Tymczasem, ponieważ nowe, tak zwane majowe, bo w maju je uchwalono, prawa, sprzeciwiały się prawu Bożemu lub kościelnemu, przeto ani Arcybiskup, ani inni kapłani nie mogli się owym prawom poddać. To też wnet zaczęto prześladować i ciemiężyć księży w najrozmaitszy sposób: nakładano na nich ogromne kary pieniężne, zatrzymywano pensye, wypędzano za granicę, więziono i t. d.

I najwyższy zwierzchnik archidyecezyi Arcybiskup gnieźnieński i poznański ks. Ledóchowski, który obecnie piastuje w Rzymie najwyższy po Ojcu św. urząd, poszedł za kratę. Przesiedziawszy

we więzieniu, w miasteczku Ostrowie, dwa lata, został wydalony za granicę. Po Arcybiskupie więziono i wypędzono dwóch Biskupów: poznańskiego i gnieźnieńskiego; dalej Kanoników, Dziekanów, Proboszczów, lecz już najwięcej znęcano się nad księżmi, zwanymi majowymi, dlatego, że już po wydaniu owych sławnych praw majowych, zostali na kapłanów wyświęceni za granicą państwa niemieckiego. Tak to książę Bismark pastwił się nad Kościołem św., bo wiedział dobrze, że wiara nasza katolicka jest tak silnie złączona z narodowością polską, że kto przestanie być katolikiem, ten też zaprze się narodowości i na odwrót, kto się wyprze imienia polskiego, ten też wnet wiarę zatraci.

Ciężkie to bardzo ciężkie były czasy dla Poznańskiego, gdy się tak Bismark srożył; zwłaszcza, gdy na domiar złego nie bał się Boga, wypędzić za granicę Niemiec kilkadziesiąt tysięcy niewinnych ludzi. których całą zbrodnią było, że się nazywali Polakami i urodzili się w innej części swej Ojczyzny, a nie w tej, gdzie barbarzyński książę panował.

Ksiądz Wrotnowski był to prawdziwy kapłan według serca Bożego, cały oddany swoim obowiązkom, a że przytem Ojczyznę kochał gorąco, jak Pan Bóg przykazał i jak to tylko ci ją kochać umieją, którzy się Boga boją, przeto wnet poczęto go prześladować.

A gdy jeszcze podążył do chorego z ostatniemi Sakramentami św. do parafii, która przez śmierć utraciła swego pasterza, wytoczono mu proces i skazano na wysoką karę pieniężną.

Ksiądz Aleksander zapłacił karę, ale spieszył dalej z posługą duchowną: odprawiał Msze św., chrzcił dzieci, dawał śluby i t d., to też wnet taka się zebrała wielka kupa zbrodni, że zacnego kapłana wsadzono do więzienia.

Pani Starkowska słyszała o nieszczęściu brata i srodze nad nim bolała, ale nie mogła się wtedy ruszyć z domu, bo ją wstrzymywały choroba męża i teściowej, potem śmierć ich, a wreszcie sprawy majątkowe i troska o dom.

Dopiero teraz przybycie syna pozwoliło jej odwiedzić ukochanego brata.

Ksiądz Wrotnowski, lubo cierpiący, udał się sam na dworzec, aby powitać siostrę.

Kochające się rodzeństwo padło sobie w objęcia i ze łzami w oczach spoglądało na siebie.

— Witaj mi siostro droga — mówił ks. Aleksander ze wzruszeniem — jakże to już dawno, gdym cię ostatni raz widział w moim domu! Ale cię też teraz nie prędko puszczę.

Pani Starkowska całowała ręce brata, powtarzając ze łzami:

— Mój bracie najdroższy, mój bracie! Cóż to za radość dla mnie, widzieć cię znowu!

I ciche a serdeczne wesele zapanowało w domu czcigodnego Proboszcza od dnia przybycia pani Joanny.

Dni mijały bardzo prędko na serdecznych zwierzeniach i rozmowach, których przedmiotem był Władysław i smutne czasy.

— Jak ja się cieszę Joasiu — mówił ks. Aleksander — z tego twojego chłopca, tego ci wyrazić nie umiem. Dał ci Pan Bóg jedno dziecko, ale daj Boże kążdemu takie! Ile tam u tego naszego kochauego doktora nauki i rozumu, ile miłości Boga i bliźniego. Jak on kocha serdecznie wszystko co nasze, co polskie, jak pragnie poświęcić siły i czas swój na usługi kraju i braci! Chyba tylko skromność Władzia, przewyższa te wszystkie jego przymioty.

— Ach! bracie kochany — zawołała pani Joanna z błyskiem radości i macierzyńskiej dumy w oczach — to twoje, złote serce widzi we Władziu tyle dobrego!

— Nie, siostro, nie. Ja nie jestem zaślepiony przywiązaniem. Kocham wprawdzie twego syna tak jakby był moim, lecz patrzę bezstronnie. I cieszę się nim serdecznie nietylko, że Władyś jest twojem dzieckiem Joasiu, ale także dlatego, że to młodzieniec polski, a przecież młodzież nasza, to nadzieja naszego narodu. Gdyby wszyscy młodzi ludzie podobni byli do Władzia, nie troszczyłbym się o przyszłość Ojczyzny.

— Prawda, że Pan Bóg dał Władziowi i serce dobre i umysł otwarty; nie wiem też jak mam Panu Bogu dziękować za to.

— Kiedy mi się tu serce krwawi, gdy patrzę na biedną naszą dziatwę, tresowaną, jak dzikie zwierzętą, to się zawsze zwracam myślą do Galicyi; tam się przecie dzieci i młodzież polska może uczyć chwalić Boga i służyć krajowi w kochanym ojczystym języku.

— Tak, w istocie, straszne tu przechodzicie czasy — mówiła pani Joanna. — Nieszczęśliwa moja rodzinna ziemia, jakaż to spadła na cię niedola! Ale przecie Pan Bóg to odmieni.

Cała ta rozmowa toczyła się na przechadzce za miastem, więc ks. Wrotnowski chcąc odwrócić myśli siostry od nader przykrego przedmiotu, rzekł z uśmiechem:

— No, siostrzyczko, zaszliśmy dziś bardzo daleko; to już po czwartej, czas wracać do domu, bo pani Agata będzie niekontenta, gdy się na kawę spóźnimy.

— Wracajmy więc — odparła pani Joanna, a po chwili wpatrując się uważnie przed siebie spytała:

— A co tam za gromada malców biegnie pędem drogą?

— Ze szkółki dzieci wracają. Patrz tylko jak się niesfornie zachowują; wszystko to skutki dzisiejszej nauki.

W tej chwili około rozmawiających przebiegło trzech chłopców, wyzywając się i rzucając na siebie kamieniami i piaskiem.

— Jakto! I nawet cię nie pozdrowią, nie pochwalą Pana Boga przed tobą? — pytała ze zdumieniem pani Starkowska.

— A widzisz, że nie! Przypominasz sobie, jak to za naszych młodych lat bywało? Z jakim to szacunkiem byliśmy dla duchownych? Żadne też z dawniejszych dzieci nie byłoby przeszło około ludzi, nie pochwaliwszy Pana Boga.

— Doskonale pamiętam, i dlatego nie mogę wyjść ze zdziwienia.

— A gdybyś wiedziała, jak te dzieci mało umieją? Katechizmu prawie wcale nie znają; to też męka prawdziwa przysposobić je do Spowiedzi i Komunii św., takie te młode umysły nie rozwinięte, a serca wyziębione.

— O Boże! Cóż to za występek pozbawiać dzieci nauki religii w ojczystym języku, usuwać ze szkoły, to właśnie, co dziecku najpotrzebniejsze, aby wyrosło na uczciwego człowieka.

— Tak jest, straszną odpowiedzialność biorą na siebie przed społeczeństwem ci, którzy nie pozwalają uczyć religii, tak jak Bóg przykazał, to jest w ojczystym języku, lub zupełnie wyrzucają ją ze szkoły. Strasznie się to kiedyś pomści, bo oto już dziś nieletnie dzieci stają przed sądem i bywają skazywane na kilkoroczne więzienie — mówił ks. Aleksander ze smutkiem.

Wtem nadeszła reszta szkolnych dzieci, składająca się przeważnie z dziewcząt. Te przypatrywały się ciekawie pani Joannie, a mijając ją i Proboszcza, zawołały chórem:

— Gut Morgen! (Dzień dobry).

Pani Starkowska była niezmiernie oburzona, więc spytała:

— A nie umiecie to Pana Boga pochwalić, moje dzieci?

— Pan nauczyciel powiada, że to teraz nie moda, że to tylko ciemni ludzie tak mówią — odparła jakaś rezolutna dziewczynka.

— A nam też ani nie wolno po polsku mówić.

— No, przecież mówisz jednak, to i Pana Boga mogłabyś pochwalić!

— Mówię po polsku, bo po niemiecku nie umiem, ino to, co się w szkole na pamięć nauczę; ale »Gut Morgen« tom sobie już spamiętała.

— A wiesz też co to znaczy? — spytał teraz ks. Aleksander.

— O, wiem! To znaczy »jak się macie«.

— Biedne, biedne wy dzieci! Jakaż to krzywda wam się dzieje! — szeptała do siebie pani Joanna i szła dalej tak zasmu-

cona, że aż żal było na nią patrzeć. Ale i ks. Aleksander był zadumany, więc w milczeniu już przebyli resztę drogi.

Wchodzili właśnie do miasteczka, gdy naraz dźwięczny i miły głosik wyrwał ich z przykrego zamyślenia.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — zawołała czternastoletnia może panienka, i zbliżywszy się do Proboszcza, pocałowała go w rękę z uszanowaniem.

— A jak się masz dziecko? — rzekł ks. Wrotnowski uprzejmie. — Jakże się miewa twoja mama?

— Dziękuję, teraz cokolwiek jest zdrowsza; dziś nawet cały dzień szyła.

— Kłaniajże się mamie i pozdrów ją odemnie. Cieszę się bardzo, że jej lepiej — mówił dobrotliwie ksiądz, żegnając dziewczynkę, która powiedziawszy:

— Dziękuję — pochwaliła znowu Pana Boga i skłoniwszy się grzecznie, pospieszyła w stronę małego domku.

— Cóż to za śliczna i grzeczna panienka? — pytała ciekawie pani Starkowska.

— To sierota, córeczka wdowy po naszym lekarzu, doktorze Stroińskim, który umarł przed trzema laty, zaraziwszy się u chorego tyfusem.

— Jaka to milutka dziewczynka i jak dobrze wychowana! Bardzo mi się podobała.

— O, pani doktorowa, choć ciężko na chleb pracuje, bo majątku nie ma żadnego, nie zaniedbuje swojej Anielci. Co powiesz na to, że ta mała mówi już płynnie trzema obcemi językami i ma bardzo wiele naukowych wiadomości?

— Nie może być! Któż ją uczy?

— Sama tylko matka. Ale naturalnie uczy córkę w ojczystym języku. A jak to pobożnie wychowane dziecko! W religii św. jest najstroskliwiej i najpilniej ćwiczona.

— Widać to już z tego, że Pana Boga pochwaliła. Nie uwierzysz braciszku, jak mnie tem ujęła za serce; boć to nasz stary polski zwyczaj pozdrawiać bliźnich pochwaleniem Imienia Zbawiciela naszego. *Ciąg dalszy nastąpi.*

Odezwa wiecu katolickiego.

Komitet wiecu katolickiego rozesłał już odezwę do Urzędów dziekańskich z prośbą, aby XX. Dziekanie ogłosili ją Duchowieństwu.

W odezwie tej czytamy najpierw o rozbudzonem życiu reli-

gijnem w całym świecie z jednej strony, a z drugiej strony o bezbożności, która się teraz wzmogła i grozi przewrotem obecnemu porządkowi społecznemu.

Ojciec św. Leon XIII w swych pismach czyli encyklikach wskazuje na Kościół św., jako na jedyną deskę ratunku, i powołuje Duchowieństwo do udziału w sprawach społecznych. To też Duchowieństwo idąc za tym głosem zgromadza się na wiece katolickie, celem wzajemnego porozumienia się, pouczenia i pokrzepienia ducha.

U nas nie było dotąd takiego zebrania, a zapowiedziany wiec katolicki na 4 lipca w Krakowie, będzie pierwszem tego rodzaju zebraniem w Galicyi. Potrzeba więc, aby ten wiec wypadł jak najświetniej.

Prezes wiecu hr. Andrzej Potocki w czasie niedawnej pielgrzymki polskiej do Rzymu, prosił Ojca św. ustnie o błogosławieństwo dla wiecu, a Ojciec św. wypytywał się i błogosławieństwa udzielił.

W końcu odezwy czytamy, że program wiecu będzie bardzo obfity, a wszystkie uchwały wyjdą w osobnej książce pamiątkowej, w której pomieszczone też będą nazwiska wszystkich uczestników wiecu.

Bilet udziału we wszystkich zebraniach wraz z książką pamiątkową kosztować będzie 3 złr., a to ze względu na wielkie koszta, jakie urządzenie wiecu za sobą pociąga.

Udział w wiecu mogą brać tylko osoby znane, lub zalecone przez Duchownych.

Bliższe szczegóły programu podane są niżej w *Kronice kościelnej*.

MODLITWA.

Boga-Rodzico! Tyś świadkiem mej doli,
W boleści serca ze łzami Cię proszę,
Daj mi cierpliwość uledz Boskiej woli,
A smutek ciężki niechaj mężnie znoszę.
Nieraz ja Twojej doznałem opieki,
Pociechy w smutku i wsparcia w potrzebie,
Maryo! podnieś łaskawe powieki
I spojrzyj na mnie kiedy błagam Ciebie.
Wszak znasz co boleść! O! Matko jedyna!
Tyś siedm mieczów miała w swojem łonie,
Kiedyś na krzyżu zobaczyła Syna,
Chciejże mi w smutku stanąć ku obronie,

Wejrzyj o Matko! na żal, nie na winę.
Wejrzyj na serce smutkiem uciśnione,
Dopomóż dzisiaj i w śmierci godzinę,
By me nadzieje były uiszczone.

J. J. Bystry z Majdanu Kolbusz.

Wyleczona.

(Zdarzenie prawdziwe).

Niedaleko Kolonii leży wioska F., a w niej mieszka bogaty gospodarz ze swoją połowicą — dzieci nie mają, za to chleba dużo. Jemu imię Piotr, czyli jak tam mówią: Pitter, a jej Hanka. Szanowna ta para zarabia wiele pieniędzy na maśle, serze, jajkach, mleku, warzywie, bo interes swój znają znakomicie, a wielkie miasto tuż. Hanka doprowadziła wprawę sprzedawania swych towarów, mianowicie masła na targu w Kolonii, do najwyższego stopnia doskonałości — zawsze umiała wynaleść powód, dla którego kazała sobie drogo płacić za masło. Zimą narzekała, że sucha pasza nie jest dla krów pożywną; w maju znowu trawa była jałowa; gdy deszcz padał, już Hance wszystko wygniło, a skoro słonko błysło na niebie — no, to już na węgiel wypaliło pastwiska.

W ten sposób Pan Pitter z panią Hanką ułożyli sporo grosza i niczego im do szczęścia nie brakło. Ba! Niczego!

— Gdzie też jest na świecie człowiek, którýby był zupełnie szczęśliwy i niczego nie pożądał? Nikt mi go nie wskaże i ja nie znam takiego, bo oto i Hankę dręczyła rzecz jedna, nie dając niebodze spokoju.

Hanka lubiła dobrze zjeść, a ilekroć przybyła na targ do Kolonii, musiała przechodzić około handlu delikatesów. Widząc zaś w oknie wystawnem te rozmaite garnuszki, słoiki i buteleczki, czuła jakieś mdłości, czy ściśnienie w okolicy żołądka i ślinka do ust się cisnęła.

— Pitter — rzekła jednego dnia Hanka — ja już dłużej nie wytrzymam, ja takiego garnuszka spróbować muszę, bo mówię ci, jak nie, źle będzie ze mną.

Pitter trochę przestraszony i w obawie, by zaś godna małżonka nie poniosła jakiego szwanku, przyobiecał, że na nadchodzący kiermasz kupi taki garnuszek z przysmaczkami i wtenczas sobie użyją.

W przeddzień kiermaszu Pitter poszedł do Kolonii, przeszedł jednę i drugą ulicę, wreszcie zatrzymał się przed jednem oknem

wystawnem, gdzie były różne słoiki i butelki, popatrzał na te przyczyny męczarni swej Hanki i wszedł do handlu.

— Czy to tu — zapytał — gdzie to takich dobrych rzeczy kupić można?

— A naturalnie, że tu! — zaręczył kupiec — w całej Kolonii nie dostaniecie lepszych.

— No, a ile też kosztuje taki garnuszek, ale już najlepszy?

— Najlepszy kosztuje cztery marki.

— Oj, coś drogo! A trzy nie będzie dosyć? To przecie już pieniądz!

— Pod żadnym warunkiem — odparł kupiec — mamy stałe ceny.

— Ha! Toć zawińcie mi garnuszek w papier, ale drogo u was, drogo, nie ma co! — mówił Pitter, potrząsając głową; potem sięgnął z westchnieniem do kieszeni, zapłacił z bólem serca cztery marki (t. j. przeszło 2 złr.) i powędrował ze swoim skarbem do domu.

Tu nie mógł się uspokoić, że tak wiele zapłacić musiał, ale Hanka, która kiermaszu nie mogła się doczekać i całą noc oka nie zmrużyła, pocieszała jak mogła małżonka, mówiąc, że na przyszły tydzień sprzeda funt masła drożej po dziesięć fenigów, to się strata wróci, a co sobie użyją, to użyją.

Nazajutrz był kiermasz; zwykle spraszał Pitter na ten dzień uroczysty krewnych z pobliskich wiosek, którzy go też nawzajem zapraszali, lecz w tym roku zauważył, że bez krewnych się obędzie, bo takie drogie i dobre rzeczy sami przecie zjeść mogą.

Podczas obiadu stał drogocenny garnuszek na stole; nasyciwszy się mięsiwem sięgnął Pitter z uroczystą miną po przysmaczek, Hance serce biło, podczas gdy mąż odwijał poważnie papier, wyjął szeroki korek, a w środku pokazała się delikatna, tłusta masa.

— Nasamprzód spróbujemy — rzekł Pitter, wziął cokolwiek z tej masy na koniec noża i powąchał.

— Ale to ci paradne! Powąchaj jeno Hanka!

Hanka powąchała i już otworzyła szeroko usta, aby skosztować, ale ją Pitter prędko uprzedził, obliznął się i mruknął:

— Hm! Ale to dziwnie smakuje! Jaki też to ci panowie mają gust osobliwszy!

Hanka drżącą ręką chwyciła nóż, zapuściła go głęboko w garnek i nabrała tyle, ile się tylko na nożu utrzymać mogło, ale spróbowawszy pokręciła głową i rzekła:

— Dobre bo jest okrutnie! Ale jednak ci panowie...

I niedokończywszy, znowu sięgnęła do garnuszka, spiesząc się, aby Pitter nie wypróbował za wiele. On jednak brał teraz już tylko po trochu, Hanka poszła za jego przykładem, aż na-

reszcie Pitter zauważył, że najlepiej będzie rozsmarować tę dobrą rzecz na chleb, jak tłuszcz gęsi.

Oboje więc ukroili sobie potężne kawały chleba, posmarowali grubo tą dziwną masą, ile jej tylko starczyło, posolili dobrze, i łykali te delikatesy, aż im oczy na wierzch wychodziły.

Naraz Hance mdło się zrobiło; skrzywiła się, ostatni kęs chleba położyła na stole i krzykła:

— Pitter, Pitter! Oj coś mi się tu wije na dołyżku, w oczach ćmić mi się zaczyna! Mężu ratuj! Czy też jeno w tym zatraconym garnku nie było trucizny!?

— A czarci tam wiedzą! — mruknął Pitter, ale zbladł, bo i jemu coś się niedobrze robi.

Nie chcąc jednak straszyć żony, pobiegł do szafy, nalał pełną szklankę gorzałki, wlał ją sobie w gardło i dalej po doktora co koń wyskoczy.

Wpół godziny później już lekarz wchodził do izby, a za nim Pitter. Hanka leżała na łóżku blada jak ściana, a obok stała niewielka faseczka.

Doktor pierw nim Hankę, jął oglądać niebezpieczny garnuszek stojący jeszcze na stole, tymczasem czuły mąż zbliżył się do swej połowicy.

— Pitter — szepnęła osłabionym głosem Hanka — kanalia ten mój żołądek... ale chłopski jest, nic mu po tem, co panowie lubią! Patrz!

I wskazała mu faseczkę. Pitter spojrzał, lecz ujrzawszy co zawiera, prędko oczy odwrócił i z ciekawością podszedł do stołu, bo pan doktor trzymając garnuszek w ręku, dziwnie się jakoś uśmiechał.

— Trucizna panie konsyliarzu? — pytał gospodarz niespokojnie.

— Nie; tylko paryska pomada na włosy; oto tu francuski napis.

— I nie umrze moja Hanka?

— Nie, nie. Jutro będzie zdrowa.

Stało się jak lekarz przepowiedział; nazajutrz była Hanka wyleczona ze swych mdłości, a zarazem ze swego łakomstwa.

Z opowiadania Pitra pokazało się, że zamiast do handlu delikatesów, wszedł do składu perfumeryj, którego kupiec sumiennie mógł zaręczyć, że u niego »dobre rzeczy« kupić można.

Tak Pittrowi jak Hance, po tem zjedzeniu potężnego słoika pomady, odechciało się na zawsze pańskich przysmaków. Mianowicie zaś Hanka patrzeć na nie nawet nie może. To też ile razy wypadnie jej przechodzić około handlu delikatesów, zawsze przyspiesza kroku, a głowę odwraca w przeciwną stronę. *S. G.*

Komu wierzyć?

Powiadają ludzie, że na świecie jest najwięcej lekarzy czyli doktorów, a gadka ta ztąd miała powstać: Pewien figlarz miejski udał, że go zęby bolą i obwiązawszy twarz dużą chustką, wyszedł na miasto. Wszyscy znajomi, których spotykał, polecali mu na ból zębów najrozmaitsze lekarstwa. Nie przeszedł jeszcze jednej ulicy, a narachował tych lekarstw kilkadziesiąt. Ztąd miało powstać to przysłowie, że na świecie jest najwięcej doktorów.

Ale, jeżeli to prawda, że na świecie jest dużo lekarzy, to pewno i nie mniej doradców t. j. takich, którzy chcą radzić i z radami się koniecznie narzucają. Było ich zawsze wielu, ale w tych czasach może najwięcej. Rad tych udzielają oni nietylko ustnie, ale i w gazetkach i różnych pisemkach.

Wobec tych przeróżnych rad, z któremi się tak ci doradzcy i nieproszeni opiekunowie narzucają, wartoby się zapytać; *komu wierzyć?* I na to pytanie chcę tu w tej gazetce odpowiedzieć.

A więc komu wierzyć? Już mi sam prosty rozum powiada, że po radę w jakiej wątpliwości, *nie mogę iść do człowieka nieznajomego*, dla mnie obcego, *ani od takiego rady przyjąć nie mogę*, bo co ja człowieka obcego obchodzić mogę, zkąd obcy nieznany mi człowiek może mi życzliwie poradzić. Ani on zna moje stosunki, ani moje usposobienie, ani moje potrzeby. A więc miejmy to za pierwszą zasadę, aby rady szukać tylko *u dobrze nam znajomych ludzi*, i od takich tylko rady przyjmować.

Ale ten sam prosty rozum powiada mi dalej, że ten znajomy mi człowiek, jeśli rady jego mam usłuchać, *musi być odemnie nietylko mądrzejszy, więcej doświadczony*, ale nadto musi być człowiekiem *prawym, zacnym, uczciwym, bogobojnym i sumiennym*, bo tylko taki może na moje zaufanie i na moją wiarę zasłużyć. I to druga zasada, aby tylko takim wierzyć.

Lecz i to nie dosyć. Abym mógł od kogo radę przyjąć i za nią iść, muszę mieć jeszcze tę pewność, że *ten, który mi radę daje, jest dla mnie życzliwy*, że mnie jako bliźniego swego miłuje, że nie działa na swoją korzyść i nie ma własnego interesu. I to trzecia zasada.

Postawiwszy te trzy zasady, które prosty rozum podyktował, zobaczmy teraz na kilku przykładach, co sądzić o tych ludziach, którzy się tych zasad nie trzymają, ale lada komu i w byle co wierzą. N. p. ks. Proboszcz zawezwany przez swego ks. Biskupa zapowiada z ambony, że się w parafii zbierać będą podpisy, aby Ojcu św. w ten sposób powinszować. Jedni przychodzą do kancelaryi parafialnej i podpisują, ale takich mało, inni wcale nie przy-

chodzą. Dlaczego? bo przez wieś przeszedł druciarz lub jaki wywłoka i powiedział: nie podpisujcie, bo to za pańszczyznę. I parafianie uwierzyli wywłoce, którego raz widzieli, a nie uwierzyli Proboszczowi, którego znają, o którym wiedzą, że spełnia swoje obowiązki sumiennie, że ich miłuje, i że przecież jako człowiek prawy i bogobojny, nie mógłby z ambony swoich parafian do czegoś niebezpiecznego i szkodliwego zachęcać.

Inny przykład. Przed wyborami do Sejmu czy do Rady państwa przychodzą prawyborcy na plebanię i radzą się swego Proboszcza na kogo głosować. Ksiądz jak może i umie i rozumie, radzi według swego sumienia, aby na tego lub owego głosowali. Parafianie obiecują. W dzień wyborów ale, szepnął temu i owemu sprytny rudy nieznany żydek, aby głosy swoje oddali komu innemu. I co się dzieje. Prawyborcy mimo, że im i ksiądz i naczyciel i dziedzic i inni sumienni a znani ludzie taką radę dawali, oni przecież za nią nie poszli, ale za radą rudego żydka.

Trzeci przykład. Wobec nieszczęść i klęsk, jakie rok rocznie wyrządzają wylewy rzek, chcieli zacni i dobrzy ludzie potworzyć tak zwane: *Spółki wodne*, które zebrawszy fundusze, miały przystąpić do regulacyi rzek. Aby taką spółkę wodną stworzyć, miały gminy nad rzekami położone wybrać po dwóch delegatów i posłać do miasta powiatowego. Delegatów wybrano, ale im nakazano, aby broń Boże do niczego się nie zobowiązywali i na nic nie przystawali. Dlaczego? bo stary i siwy dziadek był niedawno we wsi i powiedział, że *z tego będzie źle.*

Czy też jeszcze długo tak u nas będzie??

Jeden z czytelników.

OPOWIADANIE STANISŁAWA

O „PRZODKACH NASZYCH“.

(Ciąg dalszy).

Wójt. To oni już innej zapłaty nie brali?

Stanisł. Z początku i długo potem nie brali innej zapłaty. A nietylko wojacy, lecz sędziowie, starostowie i inni starsi urzędnicy w Polsce, aż do najpóźniejszych czasów mieli sobie wyznaczone ziemie jako zapłatę i innej nie brali.

Wójt. Aha, teraz to rozumię. Ale urzędnik mógł być tak płatnym, póki był urzędnikiem, póki żył — ba i wojak; jakże te ziemie przechodzić mogły do jego dzieci?

Stanisł. Ziemie, co były zapłatą urzędów, po śmierci albo po

posunięciu urzędnika na stopień wyższy, były oddawane tym, co jego miejsce zastępowali. Zaś co się tyczy wojaków, to ci brali już zobowiązanie wojowania z tą nadaną ziemią dla siebie, swoich dzieci, swoich wnuków i prawnuków póki stało takiej rodziny. Ziemia taka stawała się niejako zapłatą krwi całej takiej rodziny, aż do ostatniego jej potomka.

Wójt. Ale proszę ciebie, jak ojciec odumarł, wdowę, małe dzieci — jak tylko córka została? Cóż wtenczas?

Stanisł. Jeżeli właściciel sam lub syn jego iść nie mógł na wojnę, to koniecznie zastępców o swoim koszcie takiej rycerskiej posiadłości właściciel na wojnę wysłać musiał.

Bartłom. A jak ziemię taką sprzedał? Czy się to za polskich czasów takie posiadłości nie sprzedawały?

Stanisł. I owszem, sprzedawały się, lecz takim tylko, co te same zobowiązania wobec kraju wziąć chcieli i mogli, jakie miał sprzedający właściciel.

Marysia. Ale cóż się stało dalej z tym Lechem?

Stanisł. Królował póki żył. I musiał być znamienitym człowiekiem i rządzcą, kiedy go tradycya tak długo zapamiętała. Po nim nastąpił syn jego Lech drugi, który, gdy Duńczycy kraj napadli, syna swojego Wizimira wysłał z hufcami swojemi naprzeciw Duńczykom. Książę nietylko zwyciężył, ale duży kawał kraju zabrał, gdzie założył miasto nazwane podług niego Wizmar. Po śmierci Lecha drugiego panował Wizimir. Chcąc obronę kraju uporządkować, podzielił kraj na dwanaście części, nad każdą postanowił starszego nazwanego wojewodą, ktory w czasie wojny miał zbrojnych prowadzić kraju, pod jego zarządem zostającego. Zaś w czasie popoju zarządzać miał częścią kraju jemu oddanego. Takiemu wojewodzie dano wielką władzę i znaczenie. I tak panowali potomkowie Lecha około lat dwieście, lecz już nich nie wiele wspomina tradycya — wyjąwszy, że Poźny założył Poznań, a drugi Kalisz, miasta wedle imion swoich.

Marysia. A potem cóż się stało?

Stanisł. Gdy rodzina Lecha wymarła, zdawało się, że nikt prawa nie miał zasiąść na tronie polskim. Wtenczas zdało się wojewodom, że oni są tronu najbliżsi i najgodniejsi. Lecz ponieważ wszyscy mieli to samo o sobie rozumienie, przyszło do wielkich niezgód pomiędzy niemi. Każdy z nich chciał sam być naczelnikiem obranym, a zatem żaden drugiemu głosu swojego dać nie chciał. Z niezgody przyszło do pogróżki, a potem do zaczepki. Dalej okropne zamięszanie wszczęło się w kraju, gdy każda dwunasta część jedenaście nieprzyjaznych sobie miała. Wszelkie ślady przenikającej do kraju oświaty zniknęły. Miasta i wsie przemieniły się w perzynę i zwaliska, pola i zasiewy roztratowano. Walki

zacięte trwały, bo żaden wojewoda drugim ustąpić nie chciał. Jakoby dla zachowania narodu od ostatecznej zagłady, wzniósł się nagle jeden z dwunastu męstwem i szczęściem najznamienitszy nad innych, którzy mu uledz musieli. Był to Krakus, wojewoda tej części kraju, która się nazywała Białochrobacyą. Niespodziewanie pokazał się z przeważną liczbą zbrojnych i jednego po drugich pobił kilku wojewodów. Naród umęczony wojną domową, zniechęcony do wojewodów za kłótnie, które zdawały się nie mieć końca, hurmą cisnął się w około Krakusa i zwiększył siłę jego do tej potęgi, że mu już nikt godności króla polskiego odmówić nie śmiał. — Ponieważ Krakusowi zależało na tem, aby pozostał w miejscu swojego urodzenia, a miasto Gniezno za daleko leżało, musiał sobie zbudować stolicę. Wkrótce stanął szereg chat nad brzegami Wisły, gdzie zamieszkał król ze swojem rycerstwem, sługami i przyjaciółmi. To drugie stołeczne miasto w państwie nazwano od Krakusa, Kraków.

Wicek. Widzisz go! To tak dawno zaczął się Kraków budować? Kiedyż to było?

Stanisł. Około siedmiuset lat po narodzeniu Chrystusa Pana.

Wicek. Poczekajno! Ale to zamek królewski choć nad Wisłą, to nie na równinie leży.

Stanisł. Była w biskości góra zwana Wawel. Tam w jamie siedział smok, robiący szkodę w ludziach i dobytku. Król smoka zabił, na górze zamek postawił, otoczył go wałem i palisadami czyli ostrokołem z drzewa dla obrony. Później na miejscu budowli Krakusa wzniosło się miasto Kraków z zamkiem pięknym i obronnym, około którego zostawiono dla pamiątki aż do ostatnich czasów jamę smoczą.

Wicek. O tę, to ja widziałem tuż za zamkiem.

Stanisł. Otóż widzicie takie ślady życia i czynów jakie zostały po Krakusie, jakoteż miłości i wdzięczności narodu dla niego, są świadectwem wiarogodniejszym o istnieniu Krakusa, jak nawet pisane księgi! Gdy umarł, naród wdzięczny postanowił uwiecznić pamiątkę jego. Było to w ówczesnym zwyczaju pagańskim chować popioły osób zmarłych pod mogiłkami, to jest pagórkami ręką ludzką sypanemi. Więc ciało Krakusa spalono na wysokiej górze zwanej Krzemionki, a w tym miejscu lud wdzięczny i kochający usypał mogiłę, którą teraz choć ją już tysiąc lat z okładem niszczyło, jeszcze z daleka ujrzeć można. A lud okoliczny wie to zawsze, aż dotychczas, że to mogiła Krakusa, na którą ziemię w rękawach noszono.

Listy do Redakcyi.

Z Korczyny.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Wielebny Księże Redaktorze! Czytając w *Gazetce Ludowej* (która teraz złączyła się z *Nowym Dzwonkiem)*, jak nasz Szanowny Korespondent z Cieklina broni swoich parafian cieklińskich, nie chcąc dopuścić, aby się z nich inne gminy naśmiewały, pomyślałem sobie, że dobrze robi. Wprawdzie nie wszystko u nich chwali, i niektóre rzeczy gani, ale pisał to dla przestrogi swoich Braci, a to nie jest obmową grzeszną.

I ja też, broń mię P. Boże, nie chcę nikogo obmawiać, ale chcę tylko pisać ku nauce i przestrodze, zwłaszcza naszej młodzieży korczyńskiej. Może Bóg da, że jak to moje pisanie niejeden przeczyta, to sobie pomyśli jeden i drugi: a! kiedy o nas tak w gazetach piszą, to trzebaby się nam poprawić.

Nasza parafia korczyńska liczy przeszło 5500 dusz. Mamy szkołę 4-klasową, urząd pocztowy i urząd gminny. Naczelnikiem gminy jest p. F. Urbanek. Mamy dwóch Pasterzy duchownych, którzy nas nauczają jak mamy żyć na ziemi, abyśmy potem mogli z P. Bogiem cieszyć się na wieki.

Nasi księża mówią piękne nauki, ale czy wszyscy słuchają tych słów głoszonych z ambony? O nie! Jest tu wielu takich, co z bolem serca wyznaję, którzy stoją pode drzwiami kościelnemi i czekają rychło ksiądz zaśpiewa: *Ite Missa est* — i już ich niema.

Mamy tu takich, co zamiast słuchać kazania, to idą do Abramka, Lendra lub też do Jossla, i tam mają swoją sumę, kazanie i nieszpory. Sam takich naocznie w Wielkim Poście widziałem, co podczas Passyi włóczyli się od szynku do szynku i do późna w nocy odprawiali tam djabelskie nabożeństwo.

Na tem nie koniec jeszcze, bo na pijatyce się nie skończy, trzeba przecie dobrze się pobić i pokaleczyć wzajemnie, aby jeden stracił, na ten przykład, palec, a drugi pozbył się nosa.

I jeszcze nie koniec. W dnie targowe i niedzielne nie można później wieczorem wychodzić z domu, bo cie napadną na prostej drodze, obiją cię bez przyczyny i mogą ci zdrowie odebrać. Tak się to dzieje w Korczynie.

Pytam się teraz, jakie wynaleść lekarstwo na tę szkaradną chorobę? Wsadzić takiego zawadyakę do aresztu, to sobie z tego nic nie robi, a gdy wyjdzie z więzienia, wtedy jeszcze lepiej pije i głowy ludziom rozbija.

Jabym myślał, że na tę chorobę nie byłoby nic lepszego nad laszczynę, albo leszczynę, jak mówią gdzieindziej.

Dawniej po urzędach gminnych bywały całe pęki takiej laszczyny, a jak przyłożyli z niej plaster, to się niejeden wyprzysiągł i pijatyki i bijatyki.

Kończę już i proszę ten list, choć niedokładnie napisany, umieścić w *Nowym Dzwonku*, a księdzu Redaktorowi za jego trudy i pracę serdeczne składam »Bóg zapłać!«

Jeden z Czytelników w Korczynie.

Z Wielowsi.

(Z braku miejsca spóźnione).

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Czcigodny Księże Redaktorze! Dnia 9 maja b. r. odbyła się w naszej parafialnej wiosce nowa uroczystość założenia kamienia węgielnego pod nowo budować się mający na placu obok klasztoru WW. Panien Dominikanek, kosztem tychże murowany dom obszerny, w którym mieścić się będą sale dla uczącej się naszej dziatwy, którym też WW. PP. Dominikanki od czasu swego tu do nas przybycia, t. j. od lat 50 udzielają potrzebnych nauk. Dalej będzie izba dla przyjmowania gości, izba poczekalna dla chorych i kilka pomniejszych lokalów przeznaczonych dla użytku klasztornego.

Po odprawionem poprzednio nabożeństwie z procesyą na krzyżowe dni w kościele parafialnym, a następnie po drugiej Mszy św. w kaplicy klasztornej i po załatwieniu przez naszych Wielebnych Duszpasterzy innych czynności duchownych, jako to wysłuchaniu Spowiedzi, przybyli nasi Czcigodni Duszpasterze do klasztoru, zkąd W. ksiądz Proboszcz ubrany w kapę jako celebrujący, w asystencyi W. księdza Wikarego i dwóch ministrantów, poprzedzeni orszakiem WW. PP. Dominikanek z krzyżem na czele, śpiewając pieśń: *Kto się w opiekę podda Panu swemu*, udali się w procesyi na miejsce budowy.

Tam po odprawionych śpiewach kościelnych i przepisanych ceremoniach, poświęcił czcigodny ksiądz celebrans kamień węgielny i równocześnie założył puszkę w takowy, przechowującą w sobie dokument pamiątkowy.

Następnie obaj Czcigodni Duszpasterze położyli własnoręcznie po cegiełce i narzucili kielnią, po nich Wielebna Matka Przeorysza i inne Wielebne Panny zakonne, a nareszcie kto chciał z obecnych.

Po ukończeniu ceremonii zaproszono nas wszystkich obecnych do izby klasztornej, gdzie nas raczono piwem i przekąską, a nareszcie Czcigodna Wielebna Matka Przeorysza obdarowała nas na pamiątkę świętymi obrazkami.

Potem wystąpił radny Walenty Kuraś i wygłosił w imieniu naszej gminy podziękowanie wierszem, w tych słowach:

Czcigodna Wielebna Matko a Dobrodziejko nasza!
Pozwól, niech przy dzisiejszej uroczystości
Spłacimy choć w części dług winnej wdzięczności,
Nie będziem się rozwodzić za dobrodziejstw tyle,
Które odbieramy od Was każdej chwile,
Chcemy wyrazić tylko, czem nasze serca przejęte,
Niech Bóg błogosławi Wasze przedsięwzięcia święte.
Niech Wam zacne zamysły za pomocą Bożą,
Cudowną sprawą Jego obficie się mnożą,
Niech Was żadna przeciwność w dziele nie zatrważa,
Ni od zacnych przedsięwzięć niczem nie odraża.
To wszystko co czynicie pierw dla Bożej chwały;
A potem na nasz wszystkich pożytek niemały;
Wszak to dla naszej dziatwy i dla naszej młodzi
Waszego siewu nowe ziarno wschodzi,
Z którego plon po Bogu dla nas się przypadnie.
O jak to miło widzieć, jak to spojrzeć ładnie!
Na ten owoc poświęceń Waszych, Waszej pracy,
Którychśmy doczekali szczęśliwi wieśniacy,
Że nam Was Pan Bóg zesłał ze Swojej miłości,
Niejedna okolica Wielowsi zazdrości,
A my dumni, że taki skarb mamy u siebie.
Niech Wam Pan Bóg poszczęści na ziemi i w niebie!
Żyjcie nam i pracujcie wciąż dla Bożej chwały,
Ozdabiajcie ten Boży, przybytek wspaniały,
A my za tyle dobra, których doznawamy,
Winne uznanie, dzięki serdeczne składamy
Tobie Wielebna Matko z wszystkim Twym orszakiem,
Długiego życia, szczęścia pod Chrystusa znakiem.
Niech Was moc Boża wspiera wśród przeciwieństw światą,
Żyjcie Wszyscy Czcigodni, w jak najdłuższe lata!

Po tem przemówieniu radnego Kurasia, Wielebna Matka dziękując nam za udział w tej uroczystości, wyjaśniła nam bliżej przeznaczenie tego budynku i wynikające ztąd dla nas korzyści, a pomiędzy innemi, że nie będziemy się nadal troszczyć o utrzymanie własnego budynku szkolnego, który jakkolwiek posiadamy własny, jako budowany z drzewa, prędzej ulegnie zębowi czasu, a wreszcie skoro tylko lokal szkolny w klasztornym budynku urządzony zostanie, możemy dotychczasową naszą szkołą na własną korzyść zarządzić.

Poczem rozeszliśmy się do domów unosząc z sobą te miłe wrażenia pod względem takiego poświęcenia dla dobra bliźnich tych zacnych i świątobliwych niewiast. Łącząc wyrazy głębokiego szacunku, życzymy Czcigodnemu księdzu Redaktorowi błogosławieństwa Bożego i pomyślności, której się o ile lepszej wkrótce spodziewamy. Uniżony sługa

Wawrzyniec Zioło, gospodarz.

Z Chochołowa pod Tatrami.

Wielebny Księże Redaktorze! Jako uroczysty, poważny i miły głos dzwonu »Zygmunta« z starego grodu królewskiego na Wawelu, rozlega się po ziemi polskiej, tak Wasze pisemka roznoszą pomiędzy nas wieśniaków rozkoszny i miły dla każdego Polaka-katolika dźwięk pożytecznych wiadomości.

I oparł się ten dźwięk i o nasze skaliste Tatry, ale jakoś dotychczas nie wydał tego odgłosu, który już z innych stron dał się słyszeć, przez te listy pisane do *Nowego Dzwonka*.

Przecież wierzyć muszę, że więcej odbiorców tego zajmującego czasopisma istnieje w naszym zakątku podtatrzańskim; dlaczegoż więc pomimo zachęcania ze strony Szan. Redakcyi i piszących Czytelników, dotąd się nikt z naszego górskiego zakątka nie odzywa?

Nie mogąc tego znieść obojętnie, pospieszam ja coś napisać, choć niedołężnie, żeby ludzie w innych stronach naszego kraju nie powiedzieli, że to tam jeszcze ciemno w głowach tych górali, i że to tam zapewne jeszcze zbóje i łotry, jak to niegdyś bywało, skoro z tych stron nie ma kto napisać nic dobrego.

Tymczasem tak nie jest; bo dzięki Bogu i tutaj oświata znalazła dobre przyjęcie i rozeszła się po naszych podgórskich wioskach przynosząc nam »słowo do życia«, za staraniem krakowskiego Towarzystwa oświaty ludowej, które, jako gdzieindziej pozakładało czytelnie, tak i w naszej wsi Chochołowie i coraz nowemi dziełami zasila; a mało też tu takich wsi, gdzieby nie istniało Kółko rolnicze ze sklepikiem, co też świadczy, że górale, jako są sprytni i umieją po skałach i urwiskach śmiało skakać, tak i w tej mierze nie zostali w tyle za innymi.

Na teraz moje pisanie zakończam; nic ciekawego nie napisałem; chcę tylko przez to pobudzić którego z Czytelników podtatrzańskich do napisania czego ciekawego i pouczającego; bo gdy przeczyta moje nieudolne pisanie, to sobie pomyśli: jak ja tu dopiero napiszę, to się ty tam schowasz z twojem pisaniem, a nie zabieraj się do tego, czego nie umiesz! — Tego ja właśnie oczekując, pozdrawiam wszystkich Szan. Czytelników, którzy pisują

do *Nowego Dzwonka* i tych, którzy zamierzają pisać; zaś Wielebnemu księdzu Redaktorowi życzę zdrowia i sił do prowadzenia gazetek i proszę o zamieszczenie tego pisania.

Jędrzej Wetula, góral z Tatr.

Z Ameryki.

Szanowny Księże Redaktorze! Cieszy mię to, że mi do Ameryki przysyłacie *Nowy Dzwonek*. Czytając go, doznaję radości na wieść, że ludzie coraz więcej garną się do oświaty, i że przynajmniej niektórzy panowie wzięli się do podniesienia oświaty, tak długo zupełnie zaniedbanego, a na pastwę żydowstwu oddanego ludu. Daj Boże, żeby ta praca ogarnęła cały biedny naród nasz, i wydała owoce dla kraju.

Żal zbiera człowieka doprawdy, na wiadomość, że ciągle, a ciągle jak fala płynie do Ameryki z polskiego kraju emigracya. Niektórzy z nich zamiast spodziewanego polepszenia bytu, znajdują tu nędzę, gorszą od tej, jaką mieli w Europie i radziby byli, jeżeliby mogli z powrotem dostać się do kraju; inni z czasem dorabiają się znośnego bytu, a tylko bardzo nieliczna część przychodzi do majątku; za to wszyscy są narażeni bardzo na utratę wiary i narodowości.

Jest nas tu w Ameryce Północnej mniej więcej półtora miliona. Wszystko to przybyło w ostatnich 30 latach, bo przedtem emigracya polska w tym kraju nie była znaną. Wszyscy Polacy, którzy tu przybywają, przynoszą ze sobą nie wiele grosza, ale za to dwa wielkie skarby: wiarę i narodowość swą. Tej wierze silnej i zamiłowaniu do mowy ojczystej zawdzięczyć należy, że przybysze z Polski nie zaginęli bez śladu na ogromnych obszarach Stanów Zjednoczonych, ale skupiając się razem koło kościołów i księży, tworzą dziś potężną liczbę.

Gdyby jednak naraz przestali przybywać nowi polscy emigranci, po jakich 50 latach nie pozostałoby ani śladu Polaków z całej tej wielkiej ilości. Albowiem jeżeli starsi, którzy z dzieciństwa w kraju do polskiej przywykli mowy, dbają o to, by na obcej ziemi choć z wielkiemi ofiarami mieć polski kościół, polskiego księdza, polską dla dzieci szkołę, to młodzież tu zrodzona i wychowana, zupełnie o polskość dbać nie będzie, z małym chyba wyjątkiem. Dla tych bowiem, co się tu rodzą, językiem, do którego od dzieciństwa nawykają, jest angielski; polskim mówią chyba tylko w domu i gdy są zmuszone w szkole.

Zważywszy na to, że szkół polskich jest stosunkowo bardzo nie wiele, i większa część młodzieży polskiej uczęszcza do szkół angielskich, a nadto, że rodzice sami pracując wśród obcych,

nawykają po kilku latach do angielskiej mowy i używają jej także między sobą i z dziećmi — przyjdziemy do przekonania, że tylko nie wielka liczba dzieci urodzonych w Ameryce z polskich rodziców zostanie polską, w pokoleniu zaś dalszem ślad polskości zaginie zupełnie, a tylko nowi przybysze dalej polski żywioł przedstawiać będą, by następnie uledz temu samemu losowi jak poprzednicy.

1) Komu tedy miłą jest polska mowa i chciałby — jako się narodził — zostać Polakiem i widzieć swe dzieci Polakami, niech do Ameryki nie jedzie.

2) Kto opuszcza kraj, a przyjeżdża do Ameryki, naraża się na wielkie niebezpieczeństwo utraty wiary.

Jak wyżej wspomniano, liczą w Ameryce przeciętnie półtora miliona Polaków. Ponieważ jest około 150 księży, zatem na jednego księdza przypadałoby 10 tysięcy dusz.

Gdyby tedy nawet wszyscy Polacy mieszkali razem w parafiach zwartych, już byłoby niepodobieństwem, aby księża byli w stanie obsłużyć należycie wszystkich Polaków, i już wiara u bardzo wielu byłaby narażoną na niebezpieczeństwo zwłaszcza, że katolicy tu mieszkają w otoczeniu niedowiarków i innowierców, i tylko przy dostatecznej pracy kapłanów mogą we wierze wytrwać.

Niektóre parafie liczą za wiele członków i tak n p. parafia św. Stanisława Kostki w Chicago ma 50 tysięcy ludności, której potrzeb miejscowości księża w żaden sposób nie są w stanie należycie zaspokoić — inne są mniej ludne, a niektóre liczą zaledwie 50, 60 do 100 rodzin. Większa zaś może część Polaków mieszka rozprószona po całym obszarze Stanów Zjednoczonych, po kilka rodzin razem lub pojedynczo, bo każdy osiada tam, gdzie sposób do życia znaleść może. Ci są zupełnie pozbawieni posługi religijnej, nie chodzą wcale do kościoła, bo go nie mają — odwykają zupełnie od wiary, żyją i umierają bez Boga, a dzieci ich albo zupełnie są niechrzczone, albo jeżeli są ochrzczone przez pastora jakiej sekty, wyrastają bez zupełnej znajomości wiary katolickiej. Strach zbiera pomyśleć, że z ogólnej liczby Polaków zamieszkałych w Ameryce, może 500 tysięcy przez wyjazd do Ameryki jest straconych dla wiary i zbawienia.

Komu tedy chodzi o zbawienie duszy, o wiarę i o to, by swe dzieci wychować tak, żeby się nauczyły poznać Boga i drogę do zbawienia duszy, niech nie jedzie do Ameryki. Albowiem chociażby nawet tu dorobił się majątku — co jest bardzo wątpliwe — straci za to skarby, które w kraju posiadał: wiarę i narodowość swą, a której to straty nie wynagrodzą mu żadne majętności, choćby je posiadł, bo: »co pomoże człowiekowi, choćby cały świat zyskał, jeżeli duszę straci?«

Powyższe uwagi, które do *Nowego Dzwonka* posyłam, oby były przestrogą dla tych, którzy doznają porzucenia kraju, i szukania szczęścia za morzem. Kończąc, obiecuję przysłać więcej wiadomości z Ameryki. Wasz prenumerator i przyjaciel

Ks. T. Jaroń.

Powieści z Pisma świętego.

(Ciąg dalszy).

Śmierć Sary. Ożenienie Izaaka.

Wkrótce potem umarła Sara; Abraham płacząc wraz z synem nad jej ciałem, szczerą odprawił żałobę i piękny uczynił jej pogrzeb. Nabył umyślnie obszerną jaskinię, niedaleko miejsca gdzie mieszkał; tam pochował Sarę, tam dla siebie i dla rodziny swojej grób zgotował.

Gdy pierwsze chwile żalu minęły, ale smutek trwał jeszcze, chcąc rozweselić nieco dom swój, umyślił ożenić syna. Wiedząc jak wiele w domu każdym na żonie zawisło, pogardził dziewczętami ziemi Chanaana gdzie mieszkał, bo w bałwochwalstwie i rozpuście żyły; ale pobożnej, skromnej, cnotliwej chciał dobrać synowi małżonki.

Abraham w Mezopotamii, w Haranie, gdzie dawniej mieszkał, dwóch braci zostawił. Jednemu z nich Nachorowi, żona Melcha ośmiu synów powiła. Z tych najstarszy Batuel, miał syna Labana i córkę Rebekę; a wszyscy w miejscu Haran mieszkali. Miewał o nich wiadomość Abraham i wiedział, że żyją w pobożności i cnocie.

Przywołał więc Eliezera, najstarszego sługę domu swojego, który rządził tem wszystkiem co on miał; był to ten sam, którego syn Damaszek miał być dziedzicem bogactw Abrahama, dopóki mu Bóg nie dał dzieci. Omylona dziedzictwa nadzieja nie zmieniła poczciwego sługi, był zawsze równo do pana przywiązany.

Powiedział mu więc sędziwy Abraham: »Przysiąż na Boga, że nigdy nie dozwolisz, aby syn mój wziął żonę z pomiędzy córek Chanaana; ale raczej idź zaraz do ziemi i do rodziny mojej i przywieź ztamtąd żonę dla syna mego«. Przysiągł Eliezer, a wziąwszy kilku służących, dziesięć wielbłądów ze stada pana swego i wiele bogactw, ruszył w tę daleką drogę.

Po wielu dniach, przyjechawszy na miejsce pod sam wieczór, stanął z wielbłądami przed miastem Haran, przy studni; a właśnie był to czas, kiedy niewiasty przychodziły po wodę.

Eliezer znając jak ważną sprawę pan jego mu polecił, wiedząc, że z pomocą Boga wszystko dobrze idzie, tak się modlił: »Boże Abrahama! proszę nawiedź mnie dziś, uczyń miłosierdzie dla pana mego, wskaż mi tę, którąś przeznaczył za żonę Izaakowi. Oto przyjdą tu dziewczęta Harańskie, będą czerpały wodę z tej studni; natchnij tę, którąś wybrał, aby i mnie i wielbłądom moim wiadra z wodą nachyliła.«

Jeszcze był w sobie tych słów nie dokończył, kiedy ujrzał młodą dzieweczkę, dziwnie śliczną i miłą, wychodzącą z miasta; wiadra na barkach niosła; przyszedłszy do studni, naczerpała w nie wody i już wracała do domu, kiedy Eliezer zabiegłszy jej drogę powiedział: »Daj mi proszę wody, abym się napił«. — »Pij Panie!« rzekła, i złożywszy prędziuchno wiadra, nachyliła jedno do ust jego. Gdy się ochłodził, dodała: »Uciągnę jeszcze wody dla wielbłądów twoich«. I wypróżniwszy wiadra w koryto, czerpała póty ze studni, póki się wszystkie nie napiły.

Eliezer przypatrywał jej się w milczeniu i myślał sobie: »Czy zdarzył Bóg drogę moję czy nie?« Gdy dokończyła swej pracy, dobył złotych zausznic i ramienników; zausznice zawiesił na ozdobę jej twarzy; ramienniki włożył na ramiona. »Jak się zowiesz dzieweczko? — spytał się — czyjaś ty córka? Znajdęż miejsce dla siebie i wielbłądów moich w domu ojca twojego«. — »Jestem Rebeka — odpowiedziała — córka Batuela, syna Melchy i Nachora, miejsce przestrone, dostatek plew i siana znajdziesz u nas«. — To wyrzekłszy, pobiegła spiesznie do matki, opowiedzieć co jej się zdarzyło. *Ciąg dalszy nastąpi.*

Kronika kościelna.

— **Z Rzymu.** *Pielgrzymi z Tryestu*, w liczbie 150 osób, byli na posłuchaniu u Ojca św. 18 maja, pod przewodnictwem barona Albera, który odczytał adres łaciński. Ojciec św. dziękował w odpowiedzi za zapewnienia stałej wierności i polecał pielgrzymom, aby się modlili za Kościół św. Tego samego dnia był na audyencyi pewien opat zakonu benedyktyńskiego. — Następnego dnia t. j. 19 maja przyjmował Ojciec św. ks. Arcybiskupa *Hryniewieckiego*, byłego Biskupa z Wilna, wygnanego przed kilku laty przez rząd rosyjski. — Dnia 26 maja przyjmował Papież 250 *pielgrzymów węgierskich* pod przewodnictwem księcia-Prymasa Vaszary'ego, który odczytał łaciński adres pielgrzymki. W odpowiedzi podniósł Ojciec św., że życzy narodowi węgierskiemu trwałego rozkwitu i nieprzemijającej sławy. Wyciągi z dokumentów, zachowanych w archiwum watykańskiem, dowodzą, że Papieże nigdy nie przestawali czuwać nad Węgrami, a z drugiej strony Węgry nigdy nie omieszkały okazywać należnej czci Stolicy św. Następnie wspomniał Papież o napaściach, wymierzonych przeciwko interesom katolickiego

Kościoła i katolickiej religii, poczem udzielił apostolskiego błogosławieństwa Cesarzowi Franciszkowi Józefowi, krajowi węgierskiemu, jakoteż wszystkim obecnym pielgrzymom, przypuszczając ich nadto do ucałowania ręki. — Dnia 29-go maja w bazylice św. Piotra odprawił uroczystą Mszę świętą według obrządku grecko-katolickiego metropolita ruski ze Lwowa *ks. Sembratowicz,* w asystencyi Biskupów przemyskiego i stanisławowskiego, kanoników trzech ruskich dyecezyj i wielu duchownych ruskich. Po nabożeństwie uzyskała pielgrzymka ruska, licząca około dwustu uczestników, posłuchanie u Ojca świętego. Ks. Metropolita odczytał adres łaciński, zaopatrzony tysiącami podpisów i złożył świętopietrze. W odpowiedzi Ojciec święty dziękował pielgrzymce za pamięć, zapewniał, iż Rusinów szczególniej żywem uczuciem miłości ojcowskiej ukochał, przypomniał, iż za rządów swych ustanowił nową dyecezyę grecko-katolicką w Stanisławowie i przyczynił się do zwołania synodu prowincyonalnego, który w roku 1892 po dwóchsetletniej przerwie ponownie się zebrał. Ojciec święty wyraził zadowolenie z osiągniętych postępów, i niezachwianą wiarę w wierność i przywiązanie Rusinów dla Stolicy Apostolskiej. W dalszym ciągu mówił Ojciec święty o obowiązkach Duchowieństwa, a w końcu oświadczył, iż nie traci nadziei, iż z czasem i schyzma powróci do jedności z Kościołem katolickim. W końcu udzielił Papież pielgrzymce błogosławieństwa, poczem każdy pielgrzym został Mu przedstawiony osobiście.

— **Brutalny napad na Księcia Kościoła.** Gdy w niedawnych dniach powracał z Rzymu lwowski Arcybiskup ruski ks. Sembratowicz, ruscy studenci w Wiedniu zelżyli przy odjeździe z Wiednia, ks. Arcybiskupa Są to sami przyjaciele Moskali, którzy nie mogli tego znieść, że ks. Arcybiskup podążył z pielgrzymką ruską do stóp Ojca św. i za to tak się zemścili. Postępek ten młodzieży ruskiej jest haniebny i świadczy, że pewna część intelligencyi ruskiej nie ma najmniejszego nawet wychowania, i że to raczej dzicz kacapska, niż intelligencya.

— **Procesya Bożego Ciała** w Krakowie w dniu 1 czerwca wyruszyła o godz. 8 rano z katedry wawelskiej na Rynek. Celebrował Jego Em. Najprzew. ks. Kardynał Dunajewski. Trzy ołtarze obeszła procesya bez deszczu, przed dojściem jednak do czwartego ołtarza rozpoczął się ulewny deszcz, procesya więc weszła do kościoła N. Panny Maryi, i tu się nabożeństwo skończyło. Mimo niepewnej pogody w procesyi tej wzięły udział wszystkie władze urzędnicze, wojsko z jeneralicyą i kilkunastotysięczna rzesza wiernych, w której widać było wielu Szlązaków i ludu z dalszych stron przybyłego.

— **Jego Eminencya ks. Kardynał Kopp** z Wrocławia bawił z końcem maja w Krakowie, w gościnie u Jego Emin. ks. Kardynała Dunajewskiego. Ks. Kardynał Kopp zwiedzał kościół katedralny na Wawelu, oraz jego skarbiec i groby królewskie.

— **Wiec katolicki** w Krakowie rozpocznie się uroczystem zebraniem dnia 4 lipca b. r. o godz. 5 po południu, i trwać będzie przez dwa dni t. j. 5 i 6 lipca. We środę 5 lipca o godz. 8 rano odprawi się nabożeństwo, poczem odbywać się będą narady oddzielne, wieczorem zaś narady wspólne. We czwartek zaś 6 lipca odbywać się będą narady w sekcyach, czyli osobne od 8 zrana, a o 12 godz. w południe rozpocznie się wspólne zgromadzenie, w celu uchwalenia rezolucyj i wniosków przyjętych na naradach osobnych.

— **Telegram cara do Ojca św.** Dzienniki warszawskie ogłosiły dopiero teraz telegramy gratulacyjne do Ojca św. od cara i od wielk. księcia Sergiusza Aleksandrowicza. Telegram cara brzmi:

»Jestem prawdziwie szczęśliwy, że mogę złożyć Waszej Świątobliwości Me najserdeczniejsze powinszowanie z powodu jubileuszu, dziś obchodzonego. Oby Wszechmocny zachował dla Kościoła Rzymskiego i dla moich poddanych obrządku katolickiego na długie jeszcze lata dobrodziejstwa Pontyfikatu, który zawsze, jestem tego pewny, będzie ożywiony uczuciami zgody i pokoju chrześcijańskiego. — *Aleksander*«.

Telegram w. ks. Sergiusza opiewa:

»Zachowując czułe i wdzięczne wspomnienie o łaskawem przyjęciu u Waszej Świątobliwości, proszę o przyjęcie w dniu uroczystym pięćdziesięciolecia biskupiego, mego powinszowania i gorących życzeń. Oby Bóg udzielił Waszej Świątobliwości długich lat w dobrem zdrowiu. Wielka księżna łączy się z całego serca ze mną w życzeniach szczęścia dla Waszej Świątobliwości. — *Sergiusz.*

— **Składki** na budowę cerkwi prawosławnej w Warszawie, każe zbierać rząd rosyjski w całem Królestwie Polskiem. Mają to być składki niby dobrowolne (!?), ale od nich uchylać się nie wolno.

— **Z Neapolu.** *Krew św. Januarego.* Twierdzą niektórzy, że cudów nie ma, a przecież we Włoszech, w mieście Neapolu, powtarza się co rok cud, którego najwięksi niedowiarkowie zaprzeczyć nie mogą. W mieście tem przechowuje się w katedrze, w dwóch szklannych ampułkach krew św. Januarego, biskupa i męczennika, która jest zupełnie stwardniała i wyschnięta. Atoli dwa razy rocznie: w dniu przeniesienia zwłok św. Januarego (w Maju) i w dniu uroczystości tegoż Świętego (we Wrześniu) krew ta codzień przez całą oktawę w czasie nabożeństwa rozpuszcza się w płyn, a potem wraca znowu do pierwotnego stanu.

W czasie pielgrzymki polskiej z Księstwa Poznańskiego odbywał się właśnie cud pomieniony, ztąd też kilku pielgrzymów: ks. Marchlewski i pan Rajkowski z Wąbrzeźna, ks. Proboszcz Wadzyński z Duszna i ks. Olszewski z Poznania, udali się z Rzymu do Neapolu i przekonali się, że rzeczywiście ta krew stwardniała i wyschnięta staje się płynną w przecigu 15—20 minut. Odbywają się przytem ceremonie. O godz. 9 rano księża kanonicy w uroczysty sposób wynoszą popiersie szczerozłote św. Januarego wraz z relikwiami, stawiają je na ołtarzu po stronie ewangelii, w kaplicy tegoż Świętego, i przybierają popiersie w drogocenny pektorał, w kapę bardzo kosztowną i infułę perłami i brylantami wysadzoną. Są to podobno dary dawniejszych królów i książąt pobożnych. Po chwili jeden z kanoników przynosi ampułki z krwią św. Januarego, które przed oczyma publiczności przewraca z góry na dół i odwrotnie, aby wszystkich przekonać, że krew jest stwardniała i wyschnięta. Czyni to przeszło dwadzieścia minut. W czasie tego duchowieństwo modli się, a lud z krzykiem wielkim błaga św. Janunrego, aby cud pokazał. Krew jego dotąd stwardniała i wyschnięta ukazuje się w stanie płynnym. W tej chwili daje kanonik znak i przy odgłosie organ duchowieństwo i lud śpiewa z wielkim zapałem *Te Deum.* Teraz znowu pokazuje kanonik ampułki, przewracając je z góry na dół, aby wszyscy widzieli, że krew jest płynem. W końcu przybliżają się wierni do ołtarza, a kanonik przytyka ampułki z krwią płynną do ust, czoła i piersi każdego. Cud ten i ceremonie, jakie mu

towarzyszą, są tak wzruszające, że ich bez łez opuścić nie można. Bogu zaś składają dzięki ci, którym dozwolił cudowne to zdarzenie oglądać.

— **W sprawie niewolników** afrykańskich wydali zgromadzeni w marcu b. r. w Wiedniu, Biskupi austryaccy, wspólny list pasterski do swych dyecezyan, w którym nawołują swe owieczki do jałmużny i modlitwy za biednych murzynów. XX. Biskupi przypominają pismo Ojca św. Leona XIII, wydane w 1889 r. 20 listop. do Biskupów całego świata i usiłowania Papieża skierowane ku ulżeniu smutnej doli biednych ludzi w Afryce, którzy tyle cierpią od nielitościwych Arabów. Jak bowiem może Szan. Czytelnikom już wiadomo, Arabowie w Afryce łapią murzynów czyli ludzi czarnej rasy, i sprzedają ich potem w srogą niewolę, a przytem tysiące mordują bez litości. Słuszna przeto, aby się modlić za tych nieszczęśliwych ludzi i dawać jałmużnę na ich wybawienie z niewoli.

— **Święcenie niedzieli.** Długi czas nie wiedziano, czy wystawa w Chicago ma być w niedzielę otwartą czy nie. Chciano wprawdzie zachować spokój niedzielny, ale także dać sposobność pracującym przez cały tydzień, aby sobie wystawę obejrzeć mogli. Stanęło na tem, że wystawa będzie w niedzielę otwartą, ale maszyny wystawione, nie zostaną dnia tego w ruch puszczone. Naród tak przemysłowy, jak amerykański, zawsze i wszędzie pamięta o święceniu niedzieli i nie gwałci niepotrzebnie świąt, podczas gdy gdziendziej, jak i u nas, za wiele w dzień Pański pracują.

Nowiny ze świata.

— **Pogrzeb ś. p. T. Lenartowicza** odbył się w Krakowie 12 b. m. Wieczorem dnia poprzedniego przeniesiono zwłoki z kolei do kościoła N. Panny Maryi. Nazajutrz odprawił w tymże kościele nabożeństwo żałobne Najprzew. J. Em. ks. Kardynał Dunajewski, poczem wspaniały orszak pogrzebowy wyruszył do kościoła na Skałce, gdzie w »grobie zasłużonych« złożono szczątki ludowego poety. Na »Skałce« przemawiał także włościanin Fr. Wójcik z Wyciąż. W pogrzebie wzięło udział kilkadziesiąt tysięcy ludzi, a wieńców było bez liku od różnych stowarzyszeń i osób pojedynczych. Co prawda, to po śmierci umiemy ocenić pracę i zasługi, ale za życia nikt o tem ani pomyśli. Pogrzeb ten kosztował kilkanaście tysięcy, a gdy żył ś. p. Lenartowicz, to musiał nieraz jeść suchą bułkę na śniadanie, i w nędzy nieraz pracować, bo mu nikt nie przyszedł z pomocą. I tu się znowu sprawdziło: »że po śmierci kadzą, a za życia jeść nie dadzą«.

— **Godne naśladowania.** Donoszę Szan. Redakcyi, dla przykładu naszych Braci wieśniaków, że w powiecie tarnobrzeskim, w gminie Wola Tarnowska, żyje pewien gospodarz, nazwiskiem Marcin Kiełbowski, który sam czytać ani pisać nie umie, a jednak prenumeruje sobie gazetki. I po co spytacie? Oto chce się oświecić, chce coś wiedzieć o świecie, a choć sam nie umie czytać, to każe gazetki synowi czytać. Takich więcej! Niech żyje Marcin Kiełbowski! — *Józef Bystry* z Majdanu Kolbuszowskiego.

— **Wylewy.** Z powodu ciągłych deszczów, jakie do niedawna panowały, wezbrały niektóre rzeki naszego kraju i pozalewały okoliczne wsie i pola. I tak: w *zachodniej Galicyi* wylały: Dunajec, Wisłoka i Ropa, poczyniwszy wielkie szkody i spustoszenia. We *wschodniej* zaś części kraju wylał Dniestr, szczególnie koło Halicza i zalał kilka wsi. Również wielkie szkody porobiła rzeka Łomnica.

— **Wycofanie dawnych monet.** Ministerstwo skarbu reskryptem z dnia 4 maja r. b. rozporządziło, ażeby *do dnia 31 lipca* b. r. wszystkie monety *dwuguldenowe* srebrne z obiegu wycofane zostały. Do wymienionego terminu można je w kasach rządowych wymieniać, zaś po terminie wszelkie zobowiązania państwa do wymiany owych monet ustają.

— **Śmierć z udławienia.** W niedzielę 4 czerwca podczas obiadu w krakowskich aresztach miejskich na Kazimierzu o godzinie 11 zdarzył się straszny wypadek. Oto znajdujący się tamże aresztant Ludwik Kaniewski, lat 48 liczący, po spożyciu zupy, począł z niezrównanem łakomstwem połykać mięso tak, że niedogryziony kawałek uwiązł mu w gardle, przyczem począł się dusić. Wezwane lekarskie pogotowie ratunkowe mimo wydobycia uwięzionego mięsa, oraz zastosowania sztucznego wdychania, ciepłego jeszcze trupa do życia przywrócić nie zdołało. O wypadku zawiadomiono władzę policyjną, która zarządziła odwiezienie zwłok do medycyny sądowej. Kaniewski znany z wielkiego łakomstwa, był chory umysłowo, i niedawno opuścił szpital św. Łazarza.

— **Ze Lwowa.** Osobny pawilon, czyli budynek będą mieli także i Rusini na wystawie lwowskiej. Dyrekcya wystawy udzieliła już bezpłatnie miejsca pod ten pawilon ruski.

— **Otrucie mąką.** Cała rodzina Lipy Kimla złożona z 7 osób w Brodach otruła się mąką, na której Kimel, właściciel sklepiku, położył nieostrożnie trutkę na myszy.

— **Żyd szpiegiem rosyjskim.** W Złoczowie odbył się w połowie maja b. r. proces przeciw żydowi Berischowi Krims z Brodów, obwinionemu o szpiegostwo na korzyść Rosyi. Sąd skazał go za to na 2 lata ciężkiego więzienia.

— **Zapewnienia pokoju.** Najjaśn. Pan przyjmując niedawno członków *delegacyj wspólnych*, w mowie z tronu do nich wypowiedzianej, wyrzekł, że stosunki monarchii austryackiej z innemi mocarstwami są *najlepsze*, czyli, że nie zachodzi obawa wojny. To samo, ale jeszcze dobitniej, wypowiedział w delegacyach, minister spraw zagranicznych, hr. Kalnoky.

— **Zderzenie pociągów.** Dnia 30 maja pociąg osobowy idący od Oświęcimia, zderzył się pod Gliwicami wskutek złego ustawienia zwrotnicy z pociągiem idącym od Wrocławia. Jeden wagon został zgruchotany, a wielu podróżnych poranionych.

Ze Zbaraża piszą nam: W miesiącu kwietniu dnia 24 wyszli rodzice, Szymon i Marya Danilewicz do cerkwi, zostawiwszy w domu dzieci bez nadzoru. Dzieci porozumiawszy się z innemi dziećmi od sąsiadów wypędziły owce na ugor, i roznieciły ogień w kupie nawozu. Wiatr rozdmuchał płomień, który wpadł na dziewczynę 8-letnią i zapalił na niej sukienkę. Dziewcze przestraszone biegało z zapaloną suknią po polu, dopóki się na niej wszystko nie spaliło. Wskutek poparzenia dziewczyna ta w kilka godzin potem życie zakończyła. Poparze-

nie było tak okropne, że skóra na ciele i *samo ciało* dziewczęcia tak popękały, iż kości było widać. Trzeba było trupa obwiązać w płachty i tak dopiero pochować. Niebacznych rodziców pociągnął sąd do odpowiedzialności. Drugi wypadek zaszedł 29 maja b. r. Rusin, Wasyl Feszeruk, gdy w sam dzień ruskich Zielonych Świąt łowił rano wędką ryby koło młyna, wpadł w głębię i utonął. Wszyscy mówią, i słusznie może, iż to kara Boża za pogwałcenie święta. — Proszę to wydrukować w *Nowym Dzwonku* ku przestrodze dla innych. — Wasz prenumerator *Jan Kondrowski.*

— **Pożary:** W *Basiówce* koło Nawaryi spaliło się 5 gospodarstw włościańskich. Szkoda wynosi 4000 złr. Pożar wzniecił chłopak bawiący się zapałkami. — W *Trościance* wybuchł pożar w lesie, straty jednak nie wielkie. Taki sam pożar lasu zdarzył się koło Hruszowa, w pow. jaworowskim. Na przestrzeni 60 morgów ogień spalił wszelkie gałęzie i chrust. — W *Dąbrowie* koło Skulska zgorzało 16 budynków mieszkalnych, 134 gospodarskich i 6 stogów.

— **Ani na jotę** nie chce rząd rosyjski odstąpić od prześladowania żydów. Jak wiadomo, żydzi, aby się uchronić od prześladowania, zaczęli przyjmować prawosławie. Tymczasem senat rządzący w Petersburgu orzekł niedawno, że nawet przyjęcie prawosławia nie nadaje żydom prawa swobodnego pobytu w miejscowości, w której żydom według ukazu mieszkać nie wolno.

— **Ujadanie na Polaków.** Pewna moskiewska gazeta radzi rządowi rosyjskiemu, aby wydalić z granic swego państwa Niemców — jako »cudzoziemców« i wrogów caratu. Zarazem radzi to samo zrobić z Polakami-katolikami na całym obszarze ziem polskich. Aby więc Polaków zmusić do wychodźctwa, należałoby wydać prawo zabraniające wszystkim osobom nieprawosławnym, czyli głównie katolikom nabywania i dzierżawienia majątków ziemskich. W ten sposób dałoby się pozbawić Polaków wszelkiej ziemi i wypędzić ich z własnej ich ojczyzny. Czy rząd rosyjski usłucha tych podszeptów szatańskich — to rzecz wątpliwa, jakkolwiek dla Moskali i to niesłychane barbarzyństwo nie byłoby czemś hańbiącem, bo Moskale przed niczem się nie wzdrygają.

— **Kobiety-adwokatki.** W Syberyi w ostatnich czasach znaczna liczba kobiet poświęciła się adwokaturze. W mieście Tomsku znajduje się kilkadziesiąt kobiet, stających w sądach w charakterze adwokatów.

— **Zarządzenia przeciw cholerze.** Władze pruskie ze względu na możliwość zawleczenia cholery do Prus z Polski i Rosyi, zamierzają urządzić na lato wzdłuż rzeki Warty stacye choleryczne w celu rewidowania flisaków. Również i zarządy kolejowe myślą o urządzeniu baraków cholerycynych.

— **Banda rozbójników** zamaskowanych napadła w mieście Marchiennes (w Belgii) na dom milionera Depry, a zabiwszy go oraz jego żonę i córkę, zrabowała 100 tysięcy franków w gotówce, poczem znikła bez śladu.

— **Wielkie nieszczęście** spotkało rosyjskich pielgrzymów, którzy dnia 4 marca b. r. zdążali do Nazaretu. Wszyscy pielgrzymi, w liczbie 1000 osób, tak byli osłabieni złą drogą i okropnym stanem powietrza, że do Jerozolimy dotarło niewiele osób. W dniu 19 marca znaleziono na drodze 25 trupów, a chorych przywieziono 40 osób. Niewiadomo, czy wszyscy zmarli w drodze znalezieni zostali.

— **Ugoda Rosyi z Ameryką,** co do wydawania sobie nawzajem przestępców politycznych, została niestety przez oba rządy już podpisaną. Dla Polaków w Ameryce smutna tedy otwiera się przyszłość, bo Moskalom głównie o to chodziło, by i tam gnębić Polaków, by i ztamtąd ich wydobywać i posyłać na szubienicę lub Sybir.

— **Polacy zamieszkali w Ameryce** zamierzają przybyć w znacznej gromadzie w roku przyszłym do Lwowa, na zwiedzenie wystawy krajowej.

Odpowiedzi Redakcyi.

Sz. J. Sladek w Krzeszowie. Wiadomy artykuł na pewno już drukowany będzie w następnym numerze. W dzisiejszym numerze nie mógł być umieszczony najpierw z braku miejsca, a powtóre napisany jest na pół po polsku, na pół po czesku, więc musimy go trochę ogładzić i przerobić, bo inaczej niktby go nie rozumiał. Polecamy się dalszej pamięci. — *P. J. Żychowskiemu w Cieklinie.* Nadesłany wierszyk ma treść dobrą, ale właściwie wierszykiem nie jest. W wierszu oprócz dobrej treści, muszą się zgadzać końcowe zgłoski, a w tym wierszyku tego niema, więc go umieścić nie możemy. Radzimy Wam nie brać się do pisania wierszyków, ale pisać listy zwykłe, jak poprzednie, bo te były wcale dobre, tylko przedtem zbadajcie rzecz dobrze, zanim ją opiszecie. — *Korespondent z Korczyny* ma swój list umieszczony w niniejszym numerze. Prosimy go, aby i nadal o nas nie zapominał. — *Sz. R. K. z nad Wisły.* Wszelkie listy od wieśniaków umieszczamy w *Nowym Dzwonku* chętnie i zupełnie *bezpłatnie.* Im więcej mamy listów od włościan, tembardziej się tem cieszymy, bo to znak, że przynajmniej niektórzy chłopi zaczynają myśleć o sobie. — *Sz. Antoniemu W.* Kto wie czy tak nie będzie jak przypuszczacie, t. j. że za to, iż bierzemy w obronę stan włościański, narazimy się różnym osobom, a gdy na wiecu katolickim w Krakowie będzie mowa o pismach ludowych, to może zamiast pochwały spotka nas ostra krytyka. U nas i to możliwe. — *P. J. K. w Zbarażu.* Korespondencya Pańska znajduje się w *Nowinach ze świata* w dzisiejszym numerze. Prosimy i nadal o nas nie zapominać i gdy się co ważnego zdarzy, *wcześnie* nam donieść. — *Sz. J. Dumana w Z.* Illustracye dawać będziemy, ale na razie nie w każdym jeszcze numerze, bo to rzecz zbyt kosztowna. Spis rzeczy w tym roku dołączony będzie aż z końcem II-go półrocza. Na drugi rok, gdy da Bóg doczekać, zrobimy tak, jak radzicie.

Ceny zboża w Krakowie.

(Z targu na Kleparzu dnia 9 czerwca 1893 r.).

Płacono za pszenicę białą 9 złr. 50 ct. do 9 złr. 60 ct., za czerwoną 9 złr. 40 ct. do 9 złr. 50 ct., za żółtą 9 złr. 25 ct. do 9 złr. 40 ct. za żyto 7 złr. 20 ct. do 7 złr. 50 ct., jęczmień browarny 6 złr. 90 ct. do 7 złr. 10 ct., za jęczmień na kaszę 6 złr. 10 ct. do 6 złr. 25 ct., owies 7 złr. 25 ct. do 7 złr. 60 ct., proso 6 złr. 70 ct. do 7 złr. 15 ct., tatarka 9 złr. 30 ct. do 10 złr. — ct. Wszystko za 100 kilogr.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.